

Osiem lat bezprawia za miliony dolarów

16 grudnia 2017

Z okazji międzynarodowego Dnia Praw Człowieka amerykańska ambasada w Hondurasie zamieściła na Twitterze gratulacje. Władzom gratulowano poprawy bezpieczeństwa obrońców praw człowieka, dziennikarzy i innych aktywistów. Chwalono je za to, że podjęły starania na rzecz rozstrzygnięcia wątpliwości, jakie pojawiły się w związku z wynikiem wyborów prezydenckich 26 listopada. Amerykańska polityka zagraniczna i propaganda w stosunku do krajów Ameryki Łacińskiej obfituje w przykłady niegodziwości, cynizmu i hipokryzji. Ten wpis, jak i ostatnia dekada stosunków z Hondurasem jest jednym z nich.

W wyborach na urząd prezydenta, który w ponad dziewięćmilionowym środkowoamerykańskim państwie jest równocześnie głową państwa i szefem rządu, najpoważniejszym kandydatem był urzędujący prezydent Juan Orlando Hernández. Bynajmniej nie dlatego, by konserwatywno-liberalny, skrojony pod potrzeby klasy średnio- i bardzo zamożnej program jego Partii Narodowej zachwycał większość obywateli i obywateli kraju. Partia Narodowa to nie jedno ze stronnictw konkurujących o poparcie społeczne. To formacja, która ma ostatnie słowo we wszystkich fundamentalnych dla kraju kwestiach, a przeciwników politycznych bezwzględnie prześladowuje. Porównywalnie wpływowe jest może jeszcze wojsko, tyle, że między jego oczekiwaniami a aspiracjami PN zasadniczo nie ma konfliktu. Taki stan rzeczy utrzymuje się od puczu w 2009 r.

JAK ARMIA HONDURASU BRONIŁA DEMOKRACJI

28 czerwca 2009 r. urzędujący prezydent Hondurasu Manuel Zelaya został aresztowany przez wojsko, wyprowadzony w samej piżamie ze swojej rezydencji z Tegucigalpie i siłą wywieziony

samolotem do Kostaryki. Tego samego dnia parlament zagłosował nad usunięciem go z urzędu, ogłosił p.o. głowy państwa swojego przewodniczącego Roberto Michelettiego i natychmiast go zaprzysiągł.

Oficjalnie Zelayę usunięto, bo zagrażał demokracji. Konkretnie – w marcu 2009 r. zapowiedział, iż przeprowadzi niewiążące głosowanie, a potem ewentualnie referendum w sprawie wprowadzenia poprawki do konstytucji, która umożliwiałaby głowie państwa kandydowanie na drugą z rzędu kadencję. Do tej pory ustawa zasadnicza zabraniała reelekcji, co więcej, zapisano w niej, iż przepisy w tej sprawie nie mogą zostać zmodyfikowane „w żadnym wypadku”. Krajowy parlament, Kongres Narodowy, sprzeciwił się tym planom. 23 czerwca 2009 r. uchwalił ustawę, która zabraniała organizacji jakichkolwiek plebiscytów czy referendów w terminie 180 dni przed wyborami. Także wojsko oznajmiło, że nie będzie zabezpieczać głosowania, jeśli miałyby do niego dojść. W odpowiedzi Zelaya usunął ze stanowiska dowódcę naczelnego armii honduraskiej gen. Romeo Vasqueza. Sąd Najwyższy nakazał jego przywrócenie, ale prezydent nie zrezygnował. 25 czerwca nakazał swoim zwolennikom rozpoczęcie dystrybucji materiałów do niewiążącego głosowania w sprawie poprawki do konstytucji. Wtedy sędziowie najpierw zarządzili ich konfiskatę, a następnie wydali nakaz aresztowania prezydenta wprost w jego siedzibie, oskarżając go o zdradę stanu. Został wykonany co do joty. Dodatkowo na ulice Tegucigalpy wyjechały czołgi i wyszły uzbrojone oddziały wojska, rozpędzając spontaniczne demonstracje zwolenników prezydenta, którzy zrozumieli, co się stało. Wielu nie miało nawet takiej szansy – telewizja i radio nie nadały codziennego programu informacyjnego, a przez większość dnia odcięta pozostawała elektryczność.

Jak łatwo się domyślić, hondurascy „obrońcy konstytucji” nie byli bynajmniej szlachetnymi idealistami, gotowymi oddać życie za każde słowo ustawy zasadniczej (opracowanej zresztą bynajmniej nie przez żadnych demokratów, a za proamerykańskiej

dyktatury wojskowej Policarpo Paza Garcii w latach 80.). Ich problem z Manuelem Zelayą polegał na tym, że prezydent, chociaż wywodził się z Partii Liberalnej, odszedł cokolwiek za daleko od neoliberalnego konsensusu. Zdecydował o podniesieniu płacy minimalnej i emerytur, wprowadził bezpłatne posiłki do szkół, subsydiował transport publiczny. Do tego przyłączył się do Boliwariańskiego Sojuszu na rzecz Ludów Naszej Ameryki (ALBA) – porozumienia gospodarczego zainicjowanego przez lewicowych prezydentów Wenezueli i Boliwii. Proamerykańscy neoliberalowie nie mogli pozwolić, by pozostał u władzy. A gen. Vasquez, który zadbał o „techniczne” wykonanie zamachu, jest absolwentem Szkoły Ameryk – nie bez kozery zwanej „Szkołą Morderców”, uczelni, na której kształcili się architekci antylewicowych zamachów stanu i prawicowych dyktatur w całym regionie, a także dowódcy będących na ich usługach szwadronów śmierci.

DIALOG WEDŁUG HILLARY CLINTON

ONZ potępił pucz, przyjął nawet rezolucję, wzywającą do tego, by Zelaya wrócił na urząd, a żaden inny rząd nie był uznawany. W podobnym duchu wypowiedziała się Organizacja Państw Amerykańskich, która zdecydowała się nawet 4 lipca zawiesić członkostwo Hondurasu. Tyle, że najważniejszy aktor w polityce międzynarodowej na zachodniej półkuli, czyli Stany Zjednoczone, od początku dawał do zrozumienia, że Zelaya wcale nie musi wrócić na urząd (czytaj: że nie wróci). Ówczesna sekretarz stanu Hillary Clinton, która przyjęła wypędzonego prezydenta i zapewniała go, że USA pragną w jego kraju demokracji i zachowania konstytucyjnego porządku. Zasugerowała rozwiązanie konfliktu drogą dialogu, co samo w sobie brzmiało już niezbyt poważnie. O rozmowie na równych prawach nie było mowy, bo po jednej stronie stał polityk siłą przepędzony ze swojego kraju, a z drugiej – parlament popierany przez cały państwowy aparat przemocy łącznie z armią. Do tego przedstawiciele Partii Narodowej, która przejęła w Hondurasie władzę po puczu, nawet nie starali się udawać, że na

jakimkolwiek kompromisie im zależy – jednoznacznie dawali do zrozumienia, że Zelaya w kraju może liczyć co najwyżej na długoletnie więzienie.

Inscenizację dialogu doprowadzono jednak do końca. W dużym skrócie jego owocem było porozumienie, na mocy którego Zelaya miał powrócić na urząd – wcześniej zastrzegłwszy wielokrotnie, że nie spróbuje nawet walczyć o kolejną kadencję – do wyborów prezydenckich jeszcze w końcu 2009 r. Tyle, że w ostatecznym rozrachunku honduraski parlament, znowu pod dowództwem Partii Narodowej, po prostu zagłosował przeciwko powrotowi obalonego prezydenta. W styczniu 2010 r. nową głową państwa został Porfirio Lobo Sosa, już z „właściwej” opcji politycznej. Znowu zadbało o to wojsko, terroryzując organizacje opozycyjne, i rząd, cenzurując media. USA uznały taki stan rzeczy i sprawa była rozwiązana. Jak wynika z e-maili ujawnionych kilka lat po puczu, Clinton w trakcie „dialogu” nawiązała już kontakt z „p.o. prezydenta” Michelettim.

Lobo Sosa pozostawał na urzędzie do 2014 r. Zastąpił go – znowu w atmosferze cenzurowania i zastraszania oponentów – Juan Orlando Hernandez. Pod jego rządami dopełniła się farsa „obrony demokracji” w wykonaniu Partii Narodowej. Sąd Najwyższy i naczelną komisję wyborczą opanowali lojalni wykonawcy poleceń głowy państwa. Zmieniono dokładnie te ustępy konstytucji, które kilka lat temu przedstawiano jako „nienaruszalne”, decyzją tego samego Sądu Najwyższego, który potępił Zelayę. Nagle okazało się, że lewicujący prezydent nie miał prawa nawet dyskutować o możliwości kandydowania na kolejną kadencję, za to „nasz człowiek” może jak najbardziej ponownie objąć urząd. „Społeczność międzynarodowa” nie zareagowała.

TERROR, MORDERSTWA I AMERYKAŃSKA POMOC

Podobnie jak nie zwróciła uwagi na terror, jaki Partia Narodowa urządziła wszelkiej opozycji nie tylko na okoliczność wyborów i bynajmniej nie symbolicznie. Jak pisał „Huffington

Post” w 2016 r., po zabójstwie działaczki ekologicznej Berty Cáceres, laureatki Nagrody Goldmana porównywanej do Nobla w dziedzinie działań na rzecz środowiska naturalnego, w Hondurasie tysiącami ginęli opozycyjni aktywiści polityczni, obrońcy praw ludności rdzennej, działacze chłopscy, obrońcy praw człowieka, związkowcy, niewygodni dla rządu dziennikarze i sędziowie. Przestępczość, w tym działalność gangów narkotykowych osiągnęła w kraju niespotykany dotąd poziom. Na obszarach wiejskich administracja państwowa faktycznie nie funkcjonuje, realna kontrola pozostaje w rękach gangów kokainowych. Zdesperowani obywatele i obywatelki Hondurasu masowo uciekali poza jego granice, przede wszystkim do Stanów Zjednoczonych – i tu znowu ponurą rolę odegrała sekretarz stanu Clinton, w ocenie której bezpodstawne było uznawanie tych ludzi za uchodźców politycznych, którym przysługiwałoby prawo azylu.

Tymczasem do Tegucigalpy napływa nadal amerykańska pomoc – od 2009 r. Amerykanie przekazali najpierw Lobo Sosie, a potem Hernandezowi ponad 114 mln dolarów na tworzenie elitarnych jednostek policji, wojska i straży granicznej, prowadzenie operacji przeciwko gangom. Tyle, że gangi i skorumpowana do szczytu rządząca prawica tylko z pozoru są śmiertelnymi wrogami. Walka z narkotykami jest toczona tak, by jej nigdy nie wygrać, dolary zasilają konta ludzi z otoczenia Hernandeza (i jego samego), systematycznie wybuchają na tym tle skandale, a Amerykanie mimo wszystko wychodzą z założenia, że lepiej konserwować taki stan rzeczy, utrzymując Honduras w swoistej czarnej dziurze, niż pozwolić na kolejną szansę lewicy. Czy chociaż sił o minimalnym zrozumieniu, czym jest odpowiedzialna polityka społeczna.

LUDZIE MIELI DOŚĆ

Układ sił przed wyborami wydawał się w tym kontekście oczywisty. A jednak podczas podawania cząstkowych wyników długo zanosilo się na niespodziankę. Po przeliczeniu blisko 60 proc. oddanych głosów na pierwszym miejscu ciągle był nie

Hernández, a jego główny rywal, Salvador Nasralla, wystawiony przez sojusz socjalistycznej Wolności i Odnowy z socjaldemokratyczną Partią Innowacji i Jedności. Miał przewagę pięciu punktów procentowych, wydawało się, że już nie do odwrócenia. Tyle, że zdarzył się „nieoczekiwany zwrot akcji”. Najpierw liczenie głosów wyraźnie zwolniło, a potem już tylko rosła przewaga Hernandeza.

Nasralla, tak jak Zelaya, to nie rewolucjonista. Potomek palestyńskich emigrantów, absolwent Katolickiego Uniwersytetu Chile, gdzie studiował inżynierię cywilną i biznes, w swojej karierze był dziennikarzem, dyrektorem wykonawczym Pepsi Honduras i równocześnie wykładowcą Narodowego Autonomicznego Uniwersytetu Hondurasu, gdzie także nauczał przyszłych menadżerów i przedsiębiorców. Rozpoznawalność zdobył jednak jako prezenter telewizyjny i dziennikarz sportowy. Z czasem zaczął zabierać głos w sprawach politycznych, krytykując głównie toczącą prawicowe elity korupcję. Więcej w gruncie rzeczy mówić nie mógł, jeśli chciał pozostać przy życiu; tylko w okolicach poprzednich wyborów prezydenckich i parlamentarnych, odbywających się jednego dnia, w „niejasnych okolicznościach” zginęło 36 kandydatów i aktywistów wspierającej go Wolności i Odnowy, a 24 było atakowanych. Ale i hasła antykorupcyjne wystarczyły, by stać się symbolem nadziei.

Przekonani o wyborczym oszustwie wyborcy Nasralli wyszli demonstrować pod prostym hasłem: fuera JOH! (z hiszpańskiego: precz z JOH-em, czyli z Juanem Orlando Hernándezem). Ten nie wahał się ani na moment z reakcją. Ogłosił stan wyjątkowy i zawieszenie konstytucyjnych swobód na dziesięć dni, by policja i wojsko mogły uspokoić sytuację. Doskonale wiedział, że kto jak kto, ale on może sobie na taki krok pozwolić i żadni etatowi obrońcy demokracji go nie potępiają. A gdyby jednak to zrobili, to niezbyt głośno i przede wszystkim niezbyt skutecznie. Faktycznie, większość mediów głównego nurtu bez żadnego komentarza podała dalej deklarację Hernandeza, iż stan

wyjatkowy i godzina policyjna, mają służyć „opanowaniu sytuacji”. Strach pomyśleć, co by się stało, gdyby w ten sposób porządek przywracał przywódca z przeciwnej strony politycznego spektrum, a nie dobry znajomy amerykańskiego szefa sztabu gen. Johna Kelly’ego. Reakcja ambasady USA (a właściwie jej brak) była jeszcze bardziej kuriozalna. Nawet senator Demokratów Patrick Leahy uznał za stosowne skrytykować postawę placówki dyplomatycznej. „Brak informacji [o sytuacji wokół wyborów – przyp. MKF] w czasie takiego kryzysu jest niepokojący” – powiedział, cytowany przez „The Guardian”.

Agencja Reutera podała tymczasem, że Departament Stanu jeszcze 28 listopada uznał, że Honduras spełnił kryteria w zakresie walki z korupcją i poszanowania praw człowieka, a więc zasłużył na odblokowanie kolejnych transz pomocy rozwojowej, wartych miliony dolarów.

LUD ZJEDNOCZONY

A kryzys narastał, bo mieszkańcy Hondurasu nie dawali się zastraszyć. W ciągu dnia na ulice wychodziły wielotysięczne manifestacje, budowano barykady, skandowano słynne antyimperialistyczne hasło „Lud zjednoczony nie będzie zwyciężony”. Po zmroku, gdy obowiązywał już zakaz opuszczania domów, z okien i balkonów urządzano cacerolazo – zbiorowe uderzanie w patelnie i garnki. Opozycja ogłosiła, że Salvador Nasralla jest prawowitym prezydentem-elektem, konsekwentnie domagała się powtórnego przeliczenia głosów w trzech regionach, w których ogłoszone wyniki są najbardziej wątpliwe – łącznie 5179 lokali, 18 103 urn wyborczych. Przeciwno demonstrantom wysyłano wojsko i policję. W ciągu minionych dwóch tygodni podczas pacyfikacji zginęło czternaście osób, a kilkadziesiąt zostało rannych. Z kraju wyrzucano zagranicznych dziennikarzy.

Widząc, że pierwsze ofiary śmiertelne nie przestraszyły obywateli, władze ogłosiły po tygodniu protestów, że są gotowe przeliczyć jeszcze raz tylko część kwestionowanych kart – z

tysiąca lokali wyborczych. Oczywiście podliczanie dało wynik łatwy do przewidzenia. Kontrolowana przez Hernandeza komisja wyborcza poinformowała, że urzędujący prezydent otrzymał 42,98 proc. głosów, jego rywal zaś – 41,39 proc. Nadal jednak wstrzymywano się z ogłoszeniem, że są to wyniki ostateczne i oficjalne. Opozycja nie ustawała więc w żądaniach, by przeliczyć od nowa, a część uczestników manifestacji – by w ogóle powtórzyć wybory. Amerykańska ambasada tymczasem biła kolejne rekordy cynizmu, publikując 3 grudnia, gdy zamieszki na ulicach trwały dosłownie za jej oknem, gratulacje dla manifestantów za... pokojowy charakter protestów.

5 grudnia swoje stanowisko w sprawie powtórnego liczenia głosów wydała misja Organizacji Państw Amerykańskich, zasadniczo przyłączając się do postulatów opozycji i jednoznacznie stwierdzając – błędy i nieprawidłowości miały miejsce. Ale o wiele większe znaczenie miało wystąpienie rzecznika honduraskiej policji. Ku entuzjazmowi zgromadzonego tłumu oznajmił on, że funkcjonariusze – także członkowie elitarnej, wyszkolonej za amerykańskie pieniądze jednostki Cobras – nie będą już egzekwować godziny policyjnej ani wchodzić w agresywną konfrontację z protestującymi. – Chcemy pokoju, nie będziemy więcej wykonywać poleceń rządu – te słowa przedstawiciela policji musiały skłonić Hernandeza do zastanowienia się.

To jednak nadal za mało, by nieco zachwiana dyktatura upadła. Wystarczyło, by wywalczyć zapewnienie, że zostanie przeliczone więcej kart do głosowania, które budzą wątpliwości. A także kolejny twitterowy komunikat amerykańskich dyplomatów, którzy tym razem przyznali, że zastrzeżenia wysuwane przez międzynarodowych obserwatorów nie są bezpodstawne. Tyle, że jego wymowę błyskawicznie zatarły gratulacje, o których mowa na wstępie. Można się łatwo domyślić, że nieoficjalnie Hernandez usłyszał już zapewnienie, iż poparcie dla niego pozostaje niezmiennie. Niech tylko przeczeka protesty, które i tak nie budzą nadzwyczajnego zainteresowania „społeczności

międzynarodowej”. I tak z wydanych w niedzielę 10 grudnia komunikatów najwyższego trybunału wyborczego, nadal niepełnych i nieoficjalnych, wynika, że dalsze liczenie głosów ciągle daje niewielką przewagę Hernandezowi.

Pewien tego, że wojsko w razie potrzeby stanie po jego stronie, JOH ciągle uparcie trwa przy swoim. Coraz bardziej igrając z ogniem. Na dziś, 11 grudnia, opozycja – partie wspierające Nasrallę, lewicowe ruchy młodzieżowe i związkowe – wezwała do generalnego strajku. Blokady dróg i pokojowe okupacje obiektów użyteczności publicznej mają pokazać władzy prawdziwą siłę. „Tylko lud ocali lud!” – tym wezwaniem kończy się ulotka-instrukcja dla strajkujących. Gdyby gniew i solidarność mieszkańców Hondurasu dała chociaż częściowe zwycięstwo, byłby to potężny sygnał dla całej Ameryki Łacińskiej. Wyjątkowo ważny w czasach, gdy lewica w regionie znowu znalazła się w defensywie.

Autorstwo: Małgorzata Kulbaczevska-Figat

Źródło: Strajk.eu